

# Kronika tygodniowa.

(Emeryci ministeryalni. — Gautsch redivivus. — Zwiastuny jego powrotu. — Będzie rekonstrukcja, czy nie. — Aleksander Macedoński. — Kwalifikacje Gautscha na ministra i czego się po nim możemy spodziewać. — Sprawy delegacji. — Brak w nich Ukraińców. — Sejm galicyjski z muzyką i bombami. — Sprawa żulińska. — W jakim świetle przedstawia ją Rusini, a jak rzecz ma się w istocie. — Równa miarka. — Muzyka w Krakowie, czyli jak socjaliści pojmują wolność nauczania. — Szkoła nauk politycznych. — Lwów a Kraków).

Niema prawdopodobnie w Europie, a prawdopodobnie także i na całym świecie państwa, w którymby posiadano taką obfitość ministrów emerytowanych, jaką poszczycić się może nasza c. k. ojczyzna, pocziwa Austria. Nad osobnikami, które przechodzą „w dobrze zasłużony stan spoczynku” przechodzimy zazwyczaj z chwilą ich dymisji do porządku dziennego, rzadko który bowiem powraca na fotel ministeryalny, są jednak i tutaj jednostki, które od czasu do czasu wynurzają się na powierzchnię, bujają krócej lub dłużej na fluktach polityki, aby znów dać nurka i utonąć w „zapomnieniu fali”.

Takim mężem opatrnościowym, który kilkakrotnie już wypływał na widownię publiczną jest baron Paweł Gautsch. W dniu 5 listopada b. r. obchodził on dwudziestą piątą rocznicę pierwszego powołania na fotel ministeryalny i z tej okazji przypomniał sobie świat byłego kierownika wewnętrznej polityki austriackiej, który dwukrotnie już ratował nawę państwową od zatonięcia, pierwszy raz po upadku gabinetu Badeniego, drugi raz po politycznym zgonie Körbera, który zgasił w kwiecie wieku na zapalenie reformy wyborczej.

W obydwu wypadkach doktorowi Gautschowi, choć jest tylko doktorem obojga prawa, powiodła się kuracja wyśmienicie, syt też laurów i sławy spoczął wreszcie w zaciszu najwyższej Izby obrachunkowej, która prócz tytułu prezydenta przyniosła mu i wcale pokąszną pensję. Zdawało się, że pan baron zrezygnował już z politycznej kariery, tymczasem przypomniało go światu odręczne pismo gratulacyjne cesarskie, z okazji jubileuszu i wielka mowa polityczna, jaką bezpośrednio potem wygłosił w delegacjach. Mężowie, mający wyrobiony wdech polityczny powiadają, że coś śmierdzi w powietrzu i każą się domyślać, iż pan Paweł upatrzone jest na następcę barona Bienenrtha, czyli że po raz trzeci miałby zostać prezydentem austriackiego gabinetu.

Mówiono wprawdzie wiele o spodziewanej rekonstrukcji gabinetowej, przez wakacje o niej jednak zapomniano, widoczna przecież, że coś tam piszczy w trawie! Parlament zbiera się już w krótkim czasie, sympatyczny pan minister Biliński wystąpi znów z „sympatycznymi” projektami podatkowymi, na które Izba się nie zgodzi i gabinet się rozleci na cztery wiatry. Pan Bienenrth pójdzie „pod kawki”, ma bowiem zastrzeżoną posadę namiestnikowską Dolnej Austrii, reszta kolegów, choć to zima, rozpocznie skubać zieloną trawkę i w tym zapewne celu starają się sfery miarodajne, aby ta gorączka zima była łagodną. Powiększy się więc inwentarz emerytów ministeryalnych, skreśli się zaś z niego czasowo baron Gautscha, który zostanie austriackim Aleksandrem Macedońskim, mającym rozciąć węzeł gordyjski ugody czesko-niemieckiej, deficytu i sprawy kanałowej. Excelencja Biliński znajdzie także zapewne godnego siebie następcę, który snuć będzie dalej budżetowo projektową pałęczyne i cesarsko królewską ojczyzna nasza nie zgienie, ale będzie dalej wegetować w spokoju.

Na prezydenta ministrów baron Gautsch posiada znakomite kwalifikacje, jest bowiem w sile wieku (liczy lat 59) jest siwy i rumiany, nosi cwikier, tańczy bardzo pięknie i umie nawiązywać stosunki, a tego nam właśnie potrzeba. To tylko najgorsze, że pan baron nie sympatyzuje z Polakami, więc nad sprawą kanałową możemy zrobić krzyżyk i zamówić dla niej nagrobek, ozdobiony naturalnie popiersiem jej mordercy, excelencyjnego ministra rodaka. Za to na innych polach będą nasi politycy mieli tem lepszą sposobność pracowania dla dobra kraju, czekajmy więc cierpliwie, a utrzymy owoce tej pracy, przypominające, jak wiemy z tradycji, gruski na wierzbie lub smaczne figi.

Przyszła sesja parlamentu zapowiada się więc ciekawie, daleko nawet ciekawiej, niż obecne posiedzenia delegacji, z których dowiedzieliśmy się, że koniecznie potrzeba nam dreadnoughtów, bo wymaga tego powaga monarchii i zyczenie sprzymierzeńca, nie należy się zaś spodziewać wypłaty odszkodowania za wybuch prochowni, bo na to bra-

kuje funduszy. Mowa Gautscha ma być zwiastunem powrotu jego do rządów, polemika zaś Aehrenthala z Masarykiem dowodem, że sprawa serbsko-chorwacka ciągle jeszcze pokutuje w przedpokojach ministrów i oczekuje na kogoś, kto by przedłożył umiejętnie fałszowane dokumenty, niż to uczyniło poselstwo austriackie w Belgradzie. Byłby odpowiednim w tym wypadku jeden specjalista, przebywający obecnie, zdaje mi się, w Krakowie, nie brano go jednak w rachubę, gdyż po ostatnich nieporozumieniach ze sprawiedliwoscią wycofał się na seryo z życia publicznego. Zresztą delegacje nic nam nie zrobiły dobrego, ani złego, możemy więc zupełnie spokojnie przejść nad nimi do porządku dziennego i pozostawić historykowi obliczenie statystyczne, ile panowie delegacji zjedli politycznych obiadów i przeprowadzili takichże dyskusji, których wynik jest jednak zawsze z góry postanowiony. Ubolewać należy, że w delegacjach niema młodych sił w guście galicyjskich Ukraińców, muzykalną swą obstrukcją wprowadziliby bowiem pewną rozmałość do monotonnych obrad.

Jak już poprzednio zaznaczyłem w jednej z kronik, muzykalność sejmowej obstrukcji, urozmaicona pachnącymi bombami, systemu dra Kurowca, przyczyniła się nadzwyczajnie do ożywienia obrad galicyjskiego sejmu. Posłowie, którzy zwykle siadywali w bufecie, z ciekawości przebywali na sali, ci którzy lubili urządzać sobie „sejmową” drzemkę, dzięki piszczałkom i odgłosom „tam-tamu” musieli dać za wygraną. Skutków pozytywnych tej pracy dotąd nie widzimy, reforma wyborcza jest ciągle jeszcze tylko w projekcie.

Przy sposobności wzmianki o obradach sejmowych, należy wspomnieć i o tak zwanej sprawie żulińskiej, którą wrogię nam żywioły rozdmuchały do niebywałych rozmiarów, a nawet poruszyły w petersburskiej Dumie.

Według rzekomo bardzo autentycznych informacji miało się tu do czynienia z niczem innym, tylko z „polską intrygą”, bo choć nauczyciel nazywa się Greiss, jest Wszechpolakiem, a zatem śmiertelnym wrogiem Ukrainy. W szkole w Żulinie, gdzie właśnie oboje Greissowie obcinają kłoty od ukraińskich lamp mądrości, czyli innymi słowy, gdzie obydwójce pędzą zaszczytny, ale mizerny żywot nauczycieli ludowych, był uczeń, grecko-katolickiego obrządku, nazwiskiem Kochańczyk, który zmarł w pierwszych dniach października. Dodać należy, że jak donoszą pisma lwowskie, była to tak zwana „kradziona dusza”, to jest ochrzczona na obrządek grecko-katolicki, choć właściwie powinna być rzymską. Wiadomo jednak, że w niebieskich większa jest radość z jednego grzesznika nawróconego, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, więc też ruscy parochowie nie zapominają o powiększeniu swej owczarni, choćby nawet wbrew przepisom prawnym i moralnym.

Otoczyli też Ukraińcy Kochańczyka swą opieką nawet i po śmierci i rozgłosili w okolicy, że Greissowie pobili chłopca śmiertelnie i skutkiem tego on umarł. Greissów, którzy znani są jako ludzie bezstronni i pracowici oraz wzorowi nauczyciele, zasuspendowano, aby zadość stało się prawu, przeprowadzono też sekcję zwłok ś. p. Kochańczyka, która wykazała, że zmarł on na gruźlicę. Komunikat urzędowy biura korespondencyjnego ogłosił wprawdzie urzędową relację, iż chłopiec zmarł śmiercią naturalną, dziad jednak swoje, baba swoje. Ukraińcy postarali się, aby rozbebnąć sprawę w piśmie niemieckich, Starorusini doprowadzili do tego, że odnuta się echem w Petersburgu.

Kto jednak zna galicyjskich Rusinów i skwapliwość z jaką korzystają z każdej sposobności, by dokuczyć Polakom, chyba nie przypuści, by na całej sprawie był bodaj cień prawdy, gdyż w takim razie nie omieszkaliby byli posłowie ruscy poruszyć sprawę w sejmie, a jednak milczeli, jak grób. Co więcej, gdy przedstawiciel Rady szkolnej krajowej, Dębowski, złożył przed forum sejmowym sprawozdanie z urzędowych dochodzeń w tej sprawie muzyka ukraińska pod batutą pana Tymotusza który choć Staruch się nazywa, ale jest młodzieniaszkiem z usposobienia, zagrała taką huczną fanfara, że aż uszy bolały. Chodziło im zapewne o to, aby świat nie dowiedział się prawdy z ust przedstawiciela władzy.

Wogóle walka przy pomocy oszczerstw i fałszów jest wprawdzie nieetyczną, lecz bardzo użyteczną, a prawdziwymi w niej mistrzami są nasi stryjeczni braciszkuści z nad Półwi.

Powodem rzekomego pobicia Kochańczyka miało być wzbranianie się przez niego odmówienia modlitwy w szkole po polsku, biadają też pisma ruskie nad strasznym uciskiem Ukraińców, którzy skutkiem „polskiej intrygi” nie mogą się nawet modlić w swym

rodzinnym języku. Tymczasem znam, dzięki Bogu, stosunki wschodnio-galicyjskie i wiem, że dzieje się tam wprost przeciwnie, Polacy odnoszą się do Rusinów z całą galanterią, pozwalają im daleko więcej, niż się rzeczywiście należy, oni natomiast występują zawsze wrogo wobec nas. Niechby w ruskiej szkole poważni się uczeń odmówić pacierz, lub choćby odezwać się po polsku, uznano by, że przybytek ukraińskiej wiedzy został sprofanowany, kto wie, czy nie znalazłby się nawet fundusze na przeprowadzenie gruntownej dezynfekcji, zdrapanie ścian i świeże ich otynkowanie. Ale braciszkuści nasi z za Sanu widzą zawsze żdźbło w cudzym oku, a zapominają o belce, która tkwi w ich narzędziu wzrokowym.

Muzykalność, niewiadomo czy uważać to za następstwo lwowskiego zjazdu muzyków, stała się u nas zaraźliwą, używa jej już bowiem w walce i nasza młodzież, jak to mieliśmy sposobność przekonać się z okazji onegdajszej demonstracji socjalistów i radykałów przeciw wykładowi znanego socjologa chrześcijańskiego, ks. Zimmermanna. Trąb, czyneli i tam tamów wprawdzie nie używano, posługiwano się natomiast gwizdkami, które z trąskiem ławek i stołków, westchnieniami akademickich i wojennymi okrzykami zacietrzewionych polityków, składały się na bardzo melodyjną symfonię. Ma ona na żądanie ogólne powtórzoną być jeszcze raz w przyszłym tygodniu, o ile nota bene nie braknie inicjatorom energii i natchnienia.

Warto jednak zastanowić się, jak pojmują socjaliści akademicką wolność nauczania. Gdy przed kilku laty przyszła na porządek dzienny sprawa profesora Wahrunda, któremu odebrano *veniam legendi* z powodu głoszenia teorii sprzecznych z nauką Kościoła katolickiego, zerwała się w obozie socjalistyczno-żydowsko-radykalnym burza, jak kto śmie ściągać rękę na profesora uniwersytetu, wołano, że straszliwie sponiewieraną została akademicka wolność nauczania!

Cóż jednak dzieje się w kilkanaście miesięcy później? Ci sami, którzy tak gardłowali za wolnością i ronili krokodyły łzy nad krzywdą, jaką jej wyrządzono, powtarzam, ci sami, uzbrojeni w la ski i gwizdki, przychodzą do sali uniwersyteckiej, aby przeszkodzić wykładowi profesora, dlatego tylko, że jest on księdzem, więc *eo ipso* nie może hołdować skrajnym zapatrywaniom.

Miedzy jednym a drugim wystąpieniem trudno się dopatrzeć logicznego związku, kto jednak ogląda się dziś u nas na logikę?... To mebel, szczególnie w politycznym życiu, zupełnie zbyteczny, wszak wielu z pomiędzy naszych polityków obchodzi się bez niej zupełnie dobrze, a mimo to świat uważa ich za wielkich...

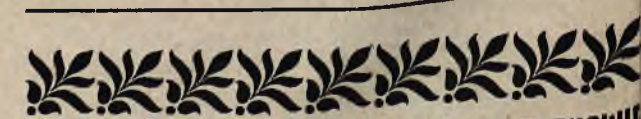
Dzięki jednak Bogu zawiązało się w Krakowie Towarzystwo Szkoły nauk politycznych i odbyło walne zgromadzenie w sali Towarzystwa demokratycznego, możemy się więc spodziewać, że przyszłe pokolenie, które wyjdzie z tej uczelni, będzie politycznie wyszkolone i poprowadzi społeczeństwo tą drogą... którą należałoby omijać, tak bowiem zwykłe się u nas dzieje, czy to w c. k. stolicy, tj. we Lwowie, czy w duchowej stolicy, konserwatywno-demokratyzowanym Krakowie. Choć oba miasta diametralnie różnią się pomiędzy sobą, na tym punkcie mają wiele stycznych, obermacherzy polityczni i tu i tam są rzeczywiście „krajowego wyrobu”...



Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędna

**KAWIARNIA J. BISANZA**

w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter



**RESTAURACJA w HOTELU SASKIM w KRAKOWIE**

z 5-ma stylowymi gabinetami.

Codziennie **KONCERT** muzyki salonowej.

